



# Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 == TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

**obuwie dziecięce, damskie i męskie.**

LEON SAZIE.

## ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

20

Pocieszywszy swego pomocnika, kazał mu wziąć inny automobil i zawieźć się do Łasku Bulońskiego. Pierwszymi osobami, jakie spotkał byli markiz don Izigo Martolo i jego piękna siostra hrabina Pepa d'Ortega, używający przejażdżki konno. Patrząc na wyświeżonego eleganckiego markiza, Paulin Broquet pomyślał, że wczoraj wieczorem na dachu wagonu widział kałużę krwi, że na krzewach rosnących na sklepieniu tunelu zaczepiona była zbroczona krwią czarna maska ze złocistą literą „Z”.

### Część II.

#### ROZDZIAŁ I.

Podczas podróży morzem, kapitan Montgomery myślał usilnie o zabezpieczeniu swych przyjaciół przed rapadem, gdy już staną w jego kraju w Anglii.

— Moi drodzy — mówił do nich — wczoraj, szary napad był dla nas lekcją, z której powinniśmy skorzystać.

— I dla nich także! — zawołał gorąco La Rochardie. — Wątpię bardzo, czy zechcą znowu nas zaczepić. Teraz dadzą nam spokój.

— Nie! — odparł chłodno Anglik. — Pokusa jest zbyt silna, żeby mieli zaniechać po pierwszej nieudanej próbie. Rozpoczną na nowo...

— I my także! — oświadczył La Rochardie, wznosząc pięść.

— Jesteśmy w Anglii. Wszystko tu się dzieje inaczej, niż we Francji, pamiętaj o tem, mój drogi. I pozwól, że jako Anglik będę waszym przewodnikiem w moim kraju.

— Słuchamy cię.

— Chodźmy na pokład — rzekł Montgomery. — Będziemy na powietrzu. Murom nie dowierzam. Sciany zawsze mają uszy.

Trzej przyjaciele wyszli na pokład i umieścili się na tyle okrętu. Przekonawszy się, że nikogo w pobliżu niema, Montgomery zaczął:

— Zabrali ci pas, mój drogi Simonet, przypuszczając, że tam się znajdują dokumenty...

— Które, dzięki pomysłowości Paulina Broquet'a są w pewnym schowaniu — dokończył Simonet.

— Doskonale, ale oni już wiedzą, że w pasie dokumentów niema i będą ich szukali gdzieindziej.

— Naturalnie.

— Niechybnie więc napad powtórzy się...

— Niech napadają — przerwał La Rochardie — jesteśmy gotowi!

— Przepraszam cię, mój drogi, wiem, że gotów jesteś walczyć... Ale ja podejrzewam co innego. Co? Nie wiem doprawdy... Ale jestem pewny, że bandyci chwycą się wszystkich sposobów. I tembardziej powinniśmy się mieć na baczności, że Paulin Broquet nie pomoże nam. Możemy liczyć tylko na samych siebie.

— To prawda!

— Otóż, mój drogi Simonet, daj mi te papiery do przechowania.

— Muszę spełnić swój obowiązek i wręczyć te papiery...

— Wręczysz je ministrowi sam. Ale mnie dasz je do przechowania. Gdy przybędziemy do Newhaven, podczas gdy wy będziecie na komorze, ja udam się do posterunku wojskowego i złożę dokumenty w miej-

scu bezpiecznem. Przesłane będą do Londynu jako papiery rządowe i jako takie będą nietykalne. Wręczę je ci w przedpokoju ministra i ty sam oddasz mu je, jak miałeś polecone. Ty zaś dojedziesz do Londynu pod strażą La Rochardie.

Tak też zrobiono.

Simonet i La Rochardie po załatwieniu formalności cłowych, wsiedli do pociągu i bez żadnej przygody dojechali do Londynu, gdzie zajęli zamówione przez telefon apartamenty w Cyril-Hotel, olbrzymim gmachu przy Strandzie. Pierwszą myślą Simonet'a po zaistnieniu się w numerze hotelowym była kąpiel. Chciał orzeźwić się po podróży i pozbyć się też zarazem pończoch gumowych, które go kępiły. Rozebrał się, zdjął pończochy, rzucił je na krzesło w sypialni i udał się do łazienki. Szmer płynącej z rur wody zagłuszył lekkie skrzypnięcie drzwi, wiodących z korytarza do sypialni. Drzwi te otworzyły się i ukazał się w nich jakiś człowiek. Simonet nie widział nic i nie słyszał, zajęty przygotowywaniem kąpeli. Człowiek wszedł do pokoju i z niesłychaną ostrożnością począł się posuwać w stronę krzesła, na którym leżało ubranie Simonet'a i pończochy gumowe... Już miał wyciągnąć po nie rękę, gdy nagle w sąsiednim numerze zajmowanym przez kapitana La Rochardie rozległ się potężny okrzyk i odgłosy walki.

— Masz tobie! — zawołał Simonet — La Rochardie już wojuje! Co się tam mogło stać?

Stało się coś, co zaalarmowało cały hotel.

Kapitan La Rochardie również miał zamiar się wykapać. Rozebrał się, napuścił wody do wanny i już miał wejść do niej, gdy przypomniał sobie, że dobrze byłoby przytem wypalić papierosa. Powrócił więc do sypialni, gdzie na stole, założonym różnemi drobiazgami i gazetami, zostawił papierosnicę. Przed stołem stało krzesło, na które kapitan rzucił swój płaszcz podróżny. Szukając papierosnicy pomiędzy gazetami, przez nieostrożność zrzucił ją na ziemię. Schylił się i w tej chwili zdawało mu się, że usłyszał koło drzwi jakiś szmer. Oczekując ciągle na nowy zamach, kapitan stał się ostrożnym i podejrzliwym. Przykucnął więc, schował się za paltem i czekał. Drzwi powoli otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna w podróżnym ubraniu. Na oczach miał umbrelkę, jaką noszą ślepcy i ludzie chorujący na oczy. Umbrelka ta zresztą doskonale maskowała rysy. Człowiek ten przez chwilę nasłuchiwał, rozglądając się po pokoju. Potem, nie wiedząc, ani słysząc nic podejrzanego, śmiało, jakkolwiek z ostrożnością skierował się do stołu.

— Złodziej hotelowy — pomyślał kapitan — albo współnik bandy z pociągu.

Gdy ów podejrzany osobnik zbliżył się do stołu, kapitan wyskoczył z ukrycia i rzucił się nań z okrzykiem, od którego dom zadrżał. Złodziej zdreptał... La Rochardie poskoczył do drzwi od korytarza i zamknął je. Ale złodziej szybko przyszedł do siebie i zorientował się w sytuacji. Odskoczył w bok i rzucił się ku drzwiom, prowadzącym do łazienki, zamierzając tą drogą umknąć. La Rochardie podążył za nim i nie pozwolił mu zamknąć drzwi za sobą. Rozpoczęła się walka. Kapitan, pamiętając o radach swego przyjaciela Montgomery, nie dowierzał swym zdolnościom bokserskim, pochwycił więc przeciwnika swego w pól i chciał go rzucić na ziemię. Ale tamten był silny i zręczny. Walka była trudna. Kapitan przypomniał sobie nagle sposób Arabów, z którym zapoznał się w Algierze. Cofnął się o parę kroków, wziął rozpęd i uderzył przeciwnika głową w piersi. Tamten zachwiał się. Kapitan powtórzył cios, poprawił go potężnym uderzeniem pięści w głowę i zwałił złodzieja wprost w wannę. Nie namyślając się ani sekundy odkręcił kurek z wrzącą wodą...

#### ROZDZIAŁ II

Na krzyk kapitana i przeraźliwe wrzask poparzonego złodzieja, zbiegli się wreszcie ludzie. Z trudnością udało im się wyrwać nieszczęśliwca z rąk rozwścieczonego kapitana, który chciał go koniecznie żywcem ugotować. Przytem niepodobna się było porozumieć. La Rochardie i Simonet, który także nadbiegł, mówili po francuzku, służba hotelowa po angielsku, poparzony po niemiecku. Wreszcie wprowadzono tłumacza.

Niemiec stracił przytomność, zaniesiono go do jego pokoju i wezwano telefonicznie lekarza. Co do kapitana, to poproszono go, by zechciał ubrać się i poczekać na przybycie władz sądowych. Sprawa wyjaśniła się w następujący sposób. Niemiec, którego kapitan chciał ugotować, wszedł do jego pokoju przez pomyłkę. Był on chory na oczy i przyjechał do Londynu poradzić się znakomitego specjalisty. Pomylił się co do drzwi, poznał swą pomyłkę i chciał się cofnąć, gdy rzucił się nań kapitan.

Ale La Rochardie nie wierzył temu wszystkiemu, nie wierzył zapewnieniom ludzi, którzy Niemca znali. Nie chciał wierzyć.

— Więc panowie sądzą, że on niedowidzi?

Chciano go o tem przekonać.

— No, dobrze, ale ja pozostanę przy swem zdaniu. I radzę panu — zwrócił się do tłumacza — polecić administracji hotelu, by tego biednego ślepcę nie spuszczała z oka.

Tłumacz skłonił się z uśmiechem, obiecując spełnić to polecenie. Ale nieszczęśliwy ślepiec zdawał się nie budzić żadnych obaw. Leżał w łóżku, cały spowinięty w bandaże i cierpiał straszliwie. Był ciężko chory i skazany na paromiesięczną kurację.

— To bardzo smutne istotnie — mówił kapitan do Simoneta, który mu robił wymówki... — To może wyrzucić bardzo złe wrażenie, ale mało mnie to wzrusza... I przyznam ci się, że zupełnie nie czuję wyrzutów sumienia, że poparzyłem tego Niemca. Jestem przekonany, że on widzi doskonale. I chciał zobaczyć, co zawierają moje kieszenie.

La Rochardie, jak się okazało, miał słuszość. Biedny ślepiec, poparzony, ciężko chory, wzbudzały ogólny żal, cudownym jakimś sposobem znikł z hotelu. Pokój był pusty. Nikt nie widział go wychodzącego i nikt go więcej nie zobaczył.

La Rochardie, dowiedziawszy się o tem, wydał tryumfalny okrzyk, wobec którego ryk syreny okrętowej wydawał się lekkim szmerem.

#### ROZDZIAŁ III.

Angielski minister spraw zagranicznych naznaczył na godzinę czwartą popołudniu audyencję, na której miał przyjąć Simonet'a. Szef gabinetu francuskiego ministerium zjadł o pierwszej śniadanie z kapitanem La Rochardie. Z kapitanem Montgomery mieli się spotkać dopiero w gmachu ministerium. Obaj przyjaciele zasiedzieli się długo przy stole, paląc cygara i gawędząc o najrozmaitszych rzeczach z wyjątkiem tego, co zajmowało ich myśli. Gdy zbliżała się godzina audyencji, wyszli z restauracji i skinęli na jedną z licznych dorózek automobilowych, które stały koło hotelu.

W chwili, gdy Simonet starał się w możliwie jasny sposób wytłumaczyć szoferowi, gdzie ma ich zawieźć, podeszła stara kobieta, typowa uliczna kwiatarka londyńska, proponując kupno bukietu.

Ani La Rochardie, ani Simonet nie mieli ochoty kupować kwiatów, odsunęli więc łagodnie przekupkę, która stawiała się coraz bardziej natarczywą. Zeby się jej pozbyć, kapitan wsunął jej w rękę pensa, odmawiając przytem przyjęcia bukietu. Ale przekupka nie ustępowała, pochwyciła kapitana za rękę i chciała wsunąć mu kwiaty.